

Prof. Norman Davies

Było dla mnie wielkim zaszczytem i wyróżnieniem otrzymać zaproszenie od Prezesa Trybunału Konstytucyjnego do wygłoszenia tego wykładu. Ale z góry muszę przeprosić za to, że nie jestem konstytucjonalistą, nie jestem historykiem ustroju, według niektórych kolegów po fachu nie jestem nawet prawdziwym historykiem. Jak każdy wie, historyk powinien być ściśle naukowy, drobnostkowy, wolnomyślący, bez wyobraźni, niepopularny, przede wszystkim nudny. Ja nie pasuję do tego modelu. Ja jestem przede wszystkim pisarzem historycznym, i dla mnie tytuł „**autora**” wystarczy. Poza tym, ja pochodzę z kraju gdzie nie tylko nie ma trybunału konstytucyjnego, nie ma nawet konstytucji, o czym opowiem dalej.

Miałem trochę do czynienia z tematem konstytucji. Kiedy byłem profesorem w Londynie, studenci często pytali, jaka jest różnica między historią polityczną i historią ustroju. I na to zawsze odpowiadałem na podstawie piłki nożnej. Mecz na stadionie to jest polityka. Zawodnicy grają, dokonują różnych wyczynów, genialne lub fatalnie strzelają bramki, albo bramkarz stopuje ataki, mecz ma wynik, który z kolei ma swoje konsekwencje w tabeli ligi i w postępie lub w upadku klubów. Wszystko to razem wzięte to polityka. Natomiast reguły gry w piłkę nożną też mają swoją historię. Historyk ustroju bada właśnie, analizuje, opisuje początki, zmiany i rozwój reguł gry.

W wypadku piłki nożnej, można powiedzieć dosyć precyzyjnie, kiedy i dlaczego zrodziły się reguły gry. Wiadomo, że Grecy i Rzymianie kopali piłką, ale do połowy XIX wieku nikt nie troszczył się o przekształcenie najróżniejszych wariantów tego sportu w regularną, systematyczną dyscyplinę. Przez wieki każdy kopał jak się mu podobało. Ale w roku 1823 nadszedł moment decydujący. Pewnego dnia, w szkole w miejscowości Rugby jeden chłopak, który nazywał się William Ellis, zamiast kopnięcia piłki, nagle schwytał ją w ręce i zbiegł z nią na drugi koniec pola. Bieg tego chłopaka na pewno imponujący, **wywołał** światową konsternację. Czy tak wolno, czy nie? A kto ma prawo i autorytet o tym sądzić? Niedługo potem powstał Rugby Union, czyli Związek Rugbistów, a równolegle Football Association, czyli Stowarzyszenie Piłki Nożnej, które autoryzowało pierwszy kodeks piłkarski (więcej o tym można przeczytać w ostatniej mojej książce „Wyspy”). W porównaniu z kodeksem piłki nożnej, który już ma blisko 150 lat, Konstytucja 3 Maja przetrwała bardzo krótko – zaledwie kilka miesięcy. Konstytucja 3 Maja została obalona i anulowana przez konfederatów **Targowicy** z pomocą armii cesarskiej po jednym tylko roku istnienia. To jest głęboki i ważny paradoks. Dlaczego, 200 lat później, pamiętamy, szanujemy i celebруем taką konstytucję, która w swoim czasie miał absolutnie minimalny, nikły wpływ na publiczne życie tego kraju? Na to pytanie są trzy odpowiedzi. Po pierwsze,

Konstytucja 3 Maja była pierwsza w długiej kolejce różnych późniejszych konstytucji. Po drugie, ona była swoja, wydana przez Polaków i Litwinów dla korzyści obojga narodów. Po trzecie, wcieliła ona w siebie nadzieje wielu pokoleń, które do niedawna musiały żyć albo pod obcą okupacją albo pod niesuwerennym reżimem. Tu w Warszawie, konstytucje wydane pod pieczęcią Napoleona lub cara Aleksandra, lub PRL zawsze cierpiały z braku prawdziwego autorytetu. Konstytucja trzeciomajowa natomiast była prawdziwa, była kochanym dzieckiem zadławionym w kolebce.

Mniej więcej przez 20 lat wygłaszałem wykłady rok rocznie o Konstytucji 3 Maja – najpierw w Londynie, później coraz dalej w Paryżu, w Stanach, w Kanadzie, w Australii. Klimat tych spotkań był zawsze ten sam. Duma Polaków i zdziwienie Niepolaków, którzy ciągle pytają, dlaczego Polacy robią taki szum. I potem żywa dyskusja o sytuacji w Polsce i o szansach podstawowych zmian. Dobrze pamiętam jedną taką okazję w Chicago na początku lat 80-tych pod hasłem „Niepodległość Polski – dawne marzenia i obecne oczekiwania”. Drugie spotkanie odbyło się w Ottawie, przed parlamentem kanadyjskim kilka lat później, kiedy ośmieliłem się mówić o starych tradycjach konstytucjonalizmu polsko-litewskiego, o tradycjach kompletnie nieznanym w świecie anglosaskim. Wydaje mi się, że moje słowa, mojej książki z tego okresu były małymi kropelkami wrzuconymi w ogromny ocean niewiedzy, w którym do dziś dnia trudno Polakom i Litwinom pływać.

Konstytucjonalizm to ważna sprawa, ważniejsza niewątpliwie od pojedynczych konstytucji. Nie wiem, jaka jest dokładna definicja tego terminu, ale rozumiem go jako pewną kulturę polityczną, gdy ludzie, narody, społeczeństwa wstrzymują się od czynów samowolnych, znają i uznają zasady prawne i szanują reguły gry. Tak jak każda inna dziedzina kultury konstytucjonalizm istnieje w głowach i przekonaniach ludzi wychowanych w jego duchu. Na stadionie piłki nożnej np. przejawia się on w zachowaniu zawodnika, który mógłby złapać piłkę w ręce, ale tego nie robi, który przyjmie decyzję arbitra, nawet wtedy, kiedy wyraźnie się on myli. W życiu politycznym konstytucjonalizm pojawia się w działaniach polityków, którzy dążą do wprowadzenia go w każdą sferę życia publicznego. W sprawach międzynarodowych funkcjonuje, kiedy prawo międzynarodowe jest przestrzegane, kiedy instytucje międzynarodowe jak ONZ są szanowane, kiedy traktaty obowiązują, kiedy różne konwencje, jak konwencje genewskie, nie są lekceważone.

Dla myślących naiwnie państwem konstytucyjnym jest każde państwo, które ma konstytucję. Modelem są Stany Zjednoczone, gdzie powstała pierwsza nowoczesna konstytucja jeszcze kilka lat wcześniej przed Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Ale krajem konstytucyjnym jest również Irak - w każdym razie taki był do marca tego roku. Irak w ciągu 80 lat swego istnienia miał trzy konstytucje. Pierwsza wydana w 1925 roku pod mandatem brytyjskim. Druga, z 1968 roku, ogłoszona po obaleniu monarchii. Trzecia, z roku 1990, pochodzi z czasów tuż przed pierwszą wojną w Zatoce. Nie wiem, czy jeszcze obowiązuje, czy nie. Nie słyszałem o tym, by wojska

koalicyjne formalnie ją anulowały. Ale mogą ją cytować. Pierwszy artykuł mówi, że Irak jest „suwerenną republiką demokratyczną i ludową, która dąży do powstania jednego państwa arabskiego i rozwoju systemu socjalistycznego”.

Podobnie Islamistyczna Republika Iranu jest krajem konstytucyjnym. Konstytucja irańska zaczyna się od stwierdzenia, że republika ta „promuje zasady i normy islamskie”. Konstytucja Korei Północnej natomiast zaczyna się od stwierdzenia, że „Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna jest socjalistyczną ojczyzną Dżucze, tzn. jest wcieleniem idei wielkiego Wodza, Towarzysza Kim Il Dzonga”. Myślę, że starsze pokolenie w Polsce pamięta podobny język.

W tym miejscu chciałbym wprowadzić małą dygresję. 17, 18 lat temu, pracując w Ameryce, otrzymałem zamówienie od redaktora „Encyklopedia Britannica”, która wbrew tytułowi jest wydaniem arcyamerykańskim, abym odnowił hasło o Polsce. Od razu zauważyłem, że istniejący opis Polski poświęca wiele miejsca Konstytucji PRL. Napisałem więc do redaktora w Chicago, proponując wiarygodny opis Polski, który nie powinien się zaczynać od systemu politycznego narzuconego z zewnątrz, a głównym elementem tego opisu nie powinna być konstytucja, która nie ma większego znaczenia. Redaktor odpisał mocno oburzony, że moja propozycja jest absolutnie nie do przyjęcia, że hasła w encyklopedii są znormalizowane, że każde zaczyna się od konstytucji, jeśli konstytucja jest, i tak dalej. Zadzwoiłem więc do Chicago, próbując przekonać redaktora o tym, że w PRL rządzi partyjna dyktatura, a w konstytucji można tylko znaleźć zapis o „kierowniczej roli partii” itd., itd. Zupełnie bezskutecznie. Według amerykańskiego sposobu myślenia konstytucja jest konstytucją i nie może być nieważna. Gadalem długo jak gęś z prosięciem. Na końcu musiałem zrezygnować z tego zadania.

Krajów niekonstytucyjnych lub bez konstytucji jest bardzo mało w dzisiejszym świecie. Zastanawiałem się nad tym i myślałem, że znalazłem jeden szczęśliwy przykład w państwie watykańskim. Wiele o tym nie wiedziałem, ale wydawało mi się, że Duch Święty włada absolutum dominum nad Watykanem za pośrednictwem Ojca Świętego i kardynała sekretarza stanu. Tak łatwo się mylić. Żona, która często sprawdza to, co piszę, weszła tryumfalnie do pokoju, machając świeżo wydrukowanym tekstem z Internetu. Okazuje się, że państwo watykańskie jest rządzone według całego szeregu konstytucji apostolskich. Pierwsza z nich „Non debet reprehensibile” pochodzi z XV wieku, a ostatnia „Pastor bonus”, wydana została przez Jana Pawła II w 1988 r. To znaczy, że zostaje chyba tylko Dalajlama, który żyje na wygnaniu w Indiach i, przynajmniej teoretycznie, panuje pokojowo i niekonstytucyjnie nad swoim biednym krajem, zagrabionym przemocą przez Chiny.

Musimy jednak brać pod uwagę inny dziwny przykład, mianowicie Zjednoczone Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej. Brytyjczycy są

przekonani, że mają konstytucję, i to najlepszą na świecie, a problem polega na tym, że nikt nie wie dokładnie, gdzie się ona znajduje. Konstytucja brytyjska jest szczególnie nieuchwytna i można o niej powiedzieć, jak o słynnym angielskim bohaterze z czasów napoleońskich – the Scarlet Pimpernel:

They seek him here; they seek him there.

They seek him almost everywhere.

Is he in heaven? Is he in hell?

That damned elusive Pimpernel.

Mój podręcznik szkolny **wyjaśniał** sytuację tak: “The British Constitution does exist, but it has never been written down” (Konstytucja brytyjska niewątpliwie istnieje, ale nigdy nie została spisana). No to pięknie. Ale jak pilny uczeń ma odkryć coś, co nie zostało spisane? Każdy nauczyciel, każdy profesor, każdy sędzia może mu radzić inaczej. W „Słowniku **Oksfordzkim**” pod hasłem „constitution” znajdujemy ciekawą rzecz. Nie wyjaśniono tego terminu na przykładzie państwa brytyjskiego, ale dawnego Imperium Rzymskiego. Łacińskie słowo constitutio, mówi słownik, oznaczało ogół praw i dekretów wydanych przez cesarzy rzymskich. To ja pytam, co ma ten szary obywatel brytyjski z tego zrozumieć? Czy zapomnieli skreślić konstytucję rzymską, kiedy legiony wymaszerowały z Londinium w V wieku?

Są jeszcze ciekawsze rzeczy. Kiedy byłem studentem w Oksfordzie, wiele lat temu, musiałem przejść obowiązkowy kurs i zdać egzamin z zakresu „Dokumentów konstytucyjnych” od XVI do końca XVIII wieku (notabene nie za blisko naszych czasów). Oksford jest najstarszym uniwersytetem w Zjednoczonym Królestwie i można było przypuszczać, że taki kurs obejmuje wszystkie główne prawa i statuty wydane w tym kluczowym okresie rozwoju państwa brytyjskiego. Ale tak nie było. Nie było podstawowych dokumentów. Na przykład, ja teraz, po 30-tu latach, własnych badań wiem, że Zjednoczone Królestwo budowało się w trzech kolejnych etapach – 1536 rok – Unia Królestwa Anglii z Walią; 1707 rok – Unia Anglii i Walii ze Szkocją (narodziny nazwy Zjednoczonego Królestwa); 1801 rok – Unia Wielkiej Brytanii z Irlandią. Czy to jest tak trudne do zrozumienia? Trzy kroki rozszerzenia państwa i w wyniku tego unifikacja czterech narodów. Ale słowo honoru, ten mój podręcznik uniwersytecki nic o tym nie mówił. Szkoci, Walijczycy, Irlandczycy protestują, a konstytucjonalisci angielscy dalej się zachowują jakby Królestwo Zjednoczone było zwykłą kontynuacją dawnego Królestwa Anglii. Ich postawa jest taka, że konstytucja brytyjska jest tak niesamowicie ezoteryczna, że tylko oni – prawnicy angielscy, mają dostęp do jej tajemnic. Mamy do czynienia, proszę Państwa, z normalną mystyfikacją. Ja, osobiście bym zaliczył konstytucję brytyjską do kategorii konstytucji mistycznych – obok działania Dalajlamy.

W historii brytyjskiej, gdzie Unia Anglii ze Szkocją trwa już 300 lat, widać duże podobieństwo z historią polsko-litewską. Nie wiem, czy nasi goście z Litwy mogliby zrozumieć sytuację, kiedy Unia Lubelska trwałaby do dziś dnia i odrębne prawo litewskie funkcjonowałoby jak zawsze w ramach Zjednoczonej Rzeczypospolitej. Naturalnie istnienie odrębnego prawa szkockiego powoduje wyraźne komplikacje. Oxfordzki Przewodnik Prawa (Kompanion to Law) zaczyna swój wstęp do „Prawa w Wielkiej Brytanii” niespodziewanym zdaniem – „There is no such thing as British law”. Mystyfikacja absolutna.

Miałem mieć sporo do powiedzenia o krajach semikonstytucyjnych lub na wprost konstytucyjnych, ale muszę skrócić swoje uwagi. Mam na myśli te kraje, w których konstytucje są, w których kultura i tradycje konstytucjonalizmu funkcjonują, a gdzie z różnych względów zasady konstytucyjne są w różnych stopniach ograniczone. Jeden przykład historyczny – Polska sanacyjna od 1926 do 1939 roku. Drugi przykład aktualny - państwo Izrael, które ma konstytucję, ma instytucje demokratyczne, ma silne imponujące poczucie zwierzchnictwa prawa nad rządem, a które jednak nie traktuje mieszkańców nieżydowskich równoprawnie z mieszkańcami żydowskimi.

Kończąc tę część wykładu, chciałbym podkreślić swój trochę amatorski punkt widzenia. Utrzymuję, że kultura obywatelska liczy się więcej niż sama litera prawa. Można wyobrazić sobie kraj, w którym konstytucja jest słaba, dwuznaczna, niekompletna, a gdzie wysoka kultura polityczna i prawna odpowiedzialnych ludzi ratuje ten system przed większymi katastrofami. Równocześnie nietrudno wyobrazić sobie kraj, w którym konstytucja jest idealna, a gdzie ideologia i praktyki kół rządzących robią z niej kpinę. Problem polega na tym, że łatwo napisać tekst konstytucji w ciągu kilku dni, lub w wypadku wolnopiszących w ciągu kilka lat, kultura natomiast rośnie powoli, ograniczenie jak drzewo, w ciągu dekad i pokoleń.

Między polityką wewnętrzną a zagraniczną

Teraz zamierzam przedstawić dwa, trzy problemy, przed którymi stoimy na arenie międzynarodowej. Każdy z tych tematów jest w pewien sposób związany z ogólnym tematem konstytucjonalizmu.

Pierwszy z nich dotyczy anomalii, która czasem powstaje między polityką wewnętrzną a zagraniczną. Łatwo **hołdować złudzeniu**, że każdy kraj demokratyczny, który szanuje prawa i opinie własnych obywateli, automatycznie będzie szanować prawa i opinie obcych ludzi, z którymi ma do czynienia za granicą. Niestety, zależność ta nie jest automatyczna. Odwrotnie, podejrzewam, że jest dosyć rzadka.

W okresie międzywojennym, 70 - 80 lat temu, Wielka Brytania była u szczytu swojej potęgi i sławy. Monarchia konstytucyjna gwarantowała wysoki poziom życia demokratycznego i wiele swobód obywatelskich. Parlament Westminsterski, „matka

parlamentów”, był słynny ze swojej pięknej retoryki i wybitnych posłów, jak Lloyd George czy Winston Churchill, a przede wszystkim z ostrych walk politycznych między rządem Jego Królewskiej Mości i opozycją Jego Królewskiej Mości, walk prowadzonych jednak niemal bez wyjątku według starych reguł gry. W dużej mierze przeogromne Imperium było rządzone spokojnie. Nawet długa debata o przyszłości Indii nie wykluczała możliwości przygotowania tam podobnego rodzimego i niepodległego systemu demokratycznego na wzór modelu Westminsterkiego, który już funkcjonował w innych dawnych koloniach, jak Kanada, Australia lub Południowa Afryka.

Jednak w pewnych warunkach Wielka - demokratyczna - Brytania potrafiła traktować swoich poddanych z bezwzględnością surowością i okrucieństwem godnym carów rosyjskich lub dyktatur totalitarnych. Wybieram przykład z Bliskiego Wschodu. Po pierwszej wojnie światowej Brytyjczycy uzyskali od Ligi Narodów mandaty do sprawowania władzy w różnych krajach pootomańskich. W jednym z nich tubylcy, z którymi nikt nie konsultował ich losu, wywołali powstanie zbrojne. Odpowiedź była niesłychanie nieludzka: postanowiono nie wysyłać do walki z powstańcami oddziałów wojskowych, raczej używać lotnictwa, które wówczas było nową bronią, zbombardować miasta i wioski, ostrzeliwać powstańców i ludność cywilną z powietrza i tak wyludnić zbuntowane regiony, by dalszy opór był niemożliwy. To, czego dokonał dowódca brytyjskiego lotnictwa w tych operacjach, spowodowało o wiele więcej strat w ludziach niż akcja lotnictwa hitlerowskiego w Guernice w Hiszpanii w 1937 roku. Dowódca ten nazywał się Arthur Harris „Bomber Harris”, później niszczyciel Drezna. Kraj, który Harris tak okrutnie doświadczył, nazywa się Irak.

Idąc tym tokiem myślenia, muszę coś powiedzieć w skróconej formie o Imperium Dobra, które - po upadku Imperium Zła - jest jedynym supermocarstwem na świecie. Jego imperializm może być nieco inny od wcześniejszych imperializmów kolonialnych lub totalitarnych, ale za to nie jest mniej wpływowy lub w pewnych dziedzinach mniej groźny.

Przez cały XX wiek funkcjonował bez skrepowania w niektórych regionach świata - np. na Kubie, w Panamie lub na Filipinach, ale nie widać go było specjalnie w Europie, gdzie program George’a Marshalla czy organizacja NATO opierały się na innych, bardziej oświeconych zasadach współpracy i prawdziwego partnerstwa. Ostatnio jednak **posunął** się szybko do przodu z powodu dwóch równoległych prawie okoliczności: z jednej strony chodzi o terrorystyczny atak na Nowy Jork 11 września, a z drugiej - wejście do rządu w Waszyngtonie nowych ludzi, nietypowych dla Partii Republikańskiej i z nową wizją świata. Cały ten temat wymagałby osobnego wykładu. Wypowiem tutaj parę ostrożnych uwag. Po pierwsze, w Ameryce toczy się debata na temat ideologii i rodowodów politycznych tych mało wcześniej znanych doradców. Mówi się na przykład o uczniach nieżyjących już profesorów Leona Straussa i Alberta Wohlstettera. Strauss, klasyk i politolog z Chicago, ma być ojcem

koncepcji „osi zła”. Wohlstetter, matematyk i strateg, prawicowy krytyk Reagana, był zwolennikiem „smart weapons”, czyli inteligentnej broni. Po drugie, należy zapytać, czy takie teorie nie są antytezą konstytucjonalizmu, z którego Stany Zjednoczone kiedyś sływały.

Jak państwo widzą, jeśli chodzi o wojnę w Iraku, wolę stać po stronie Ojca Świętego.

Na dłuższą metę patrzę optymistycznie na Amerykę, która ma w sobie żywe elementy liberalizmu, pluralizmu i tolerancji. Ja wierzę, że społeczeństwo amerykańskie umie się leczyć ze swego strachu i swoich dolegliwości.

Konstytucjonalizm w Unii

Kolejny problem, który chciałbym poruszyć, to konstytucjonalizm w Unii Europejskiej.

Miejmy nadzieję, że Polska niedługo wejdzie do Unii i że tam będzie miała mocny głos. Pamiętajmy jednak, że Unia jest bardzo młodym organizmem, że w niektórych dziedzinach jest bezbronna, że jej struktury są często niebezpiecznie uzależnione od samowoli rządów członkowskich. Wojna w Iraku, wywołana bez zgody ONZ i bez zgody NATO, spowodowała poważny rozłam polityczny w sytuacji, w której Unia nie ma ani konstytucji, ani wspólnej polityki zagranicznej, ani elementarnego systemu bezpieczeństwa. Konwent debatujący nad przyszłą konstytucją unijną z byłym prezydentem Giscardem d'Estaing na czele ma przedstawić swój raport w czerwcu, mniej więcej wtedy, gdy Polacy będą głosować w referendum. Potem na pewno będą się toczyć długie dyskusje, debaty, będzie dochodzić do różnic zdań. W efekcie ma to przekształcić Unię w długoterminową strukturę w warunkach niemałego ryzyka. Potrzebuje ona wszelkiej pomocy, aby to przeszło spokojnie i owocnie.

Cena klęski mogłaby być bardzo wysoka. Wszyscy Europejczycy mają obowiązek leczyć rany, wstrzymać się od dalszych eskapad i solidarnie się popierać. Jeśli ich przedsięwzięcie się powiedzie - nowa Europa będzie mocniejsza, pewniejsza siebie i zdolna do odgrywania roli dobrego, życzliwego partnera dla USA. Kto wie, może do tego czasu nasi amerykańscy przyjaciele zapomną o swoich lękach i wrócą na swoją tradycyjną drogę życzliwego zaangażowania. W międzyczasie jednak postawa Waszyngtonu nieco komplikuje zadanie krajów takich jak Polska czy Wielka Brytania, które cieszą się z bliskich stosunków ze Stanami, a równocześnie są integralną częścią wspólnoty europejskiej.

Polska jest tam, gdzie jest

Moim zdaniem Polskę czeka ogromnie delikatne balansowanie, w którym sama, bez poparcia sąsiadów, mogłaby stracić równowagę. Nielatwo krajowi średniej wielkości trzymać sensownie z supermocarstwem. „Biada człowiekowi, którego los

zawisł od drugiego – napisał kiedyś Aleksander Fredro o czasach napoleońskich - ale dwakroć biada narodowi, co zawisł od interesu innego narodu”¹. Przestroga może być aktualna. Nic złego w tym, że Polacy cieszą się przyjaźnią rządu amerykańskiego. Jednak, jak niedawno powiedział Zbigniew Brzeziński, „Polska jest tam, gdzie jest”. Wisła płynie tam, gdzie płynie, po europejskiej, a nie po amerykańskiej krainie. Ona nie jest dopływem ani Potomaku, ani Missisipi. Wynika z tego, że po przyjaznym goście wobec Ameryki nadszedł czas kroków w kierunku Unii Europejskiej.

Polska potrzebuje ciepłych, dynamicznych stosunków z sąsiadami, nawet kiedy francuski kogut niepotrzebnie pieje na drugim końcu ulicy. Klub europejski, który za rok może mieć 25 graczy, oferuje bogate i bardzo zróżnicowane pola do manewru; NATO, jeśli przetrwa, oferuje podobne możliwości. Współpraca w obrębie tych organizacji umożliwia najlepsze horyzonty dla rozwoju stosunków i na naszym kontynencie, i między kontynentami.

Poza tym Polacy będą mieli dużo do powiedzenia w sprawie nowej konstytucji Unii Europejskiej. Bo mają za sobą udaną stopniową transformację własnego kraju w państwo demokratyczne, wolnorynkowe i konstytucyjne. Wiedzą, co to znaczy przeżyć trudne chwile, patrzeć w przyszłość, podejmować ryzyko. Reszta Europy liczy na zdolności Polaków, na ich silne nerwy, na ich talent do improwizacji, na ich doświadczone głowy, na ich legendarną odwagę. I ja zakładam: Polska nie zaginie.

¹ Aleksander Fredro, „Trzy po trzy”, Pisma wszystkie. Proza tom XIII, Warszawa 1968, s. 79